

Ledwie noc wczesna, jak w górach zwyczajnie, zaczęła drogę zasypywać swemi mroki — jakoś opróżniła się prędko karczma Dolerowa. Z gości siedział jeszcze stary Marek Sagan, któremu nie bardzo chciało się ruszyć z miejsca; a przy nim Justycha, której znów, skutkiem licznych półkwatek, nogi zanieść nie miały ochoty do wioski, gdzie baba, w razie potrzeby, zawsze nocleg miewała w jednej zacnej chałupie... Obok drzemiącej za szynkwasem Maryny, wypoczywał Abramko na zydelku, po ciężkiej krzątaniu koło licznych przed chwilą gości.

Już Szmul miał się zabierać do odmawiania swoich wieczornych modlitw starozakonných — gdy naraz od dworu, zdaleka jeszcze, doleciały do karczmy, zbliżające się coraz bardziej, odgłosy skrzypek. Szmul nieznacznie ręce zatarł z zadowolenia. Justycha jęła się kiwać na ławie, z uśmiechem pociesznym łowiąc dźwięki...

Rychło też wrzawa głośna rozległa się prawie tuż pod oknem na drodze, poczem do izby, rznać od ucha na skrzypkach, wcisnął się, drzwi nogą pchnawszy, Józiek Dźwigała. Przytupując nogą, grajek sunął prosto do szynkwasu, a smyczek tańczył mu w ręku, jak zbójnik przy wiatrze wyskakujący na hali...

Budząc ciszę chwilową, rażna gędźba napełniła całą karczmę, a w takt skocznych dźwięków weszło z hałasem do środka, w ślad za grajkiem, jeszcze trzech, tęgich chłopów, wywijając w powietrzu góralskimi ciupagami...

Co chwila w takt muzyki wykrzykiwali oni: »Uha! uha!!« Aż cała rudera trzęsała się od ich gromkich głosów i gęśliczkowego grania krępego, trochę kudłatego, juhasa, który dawno kędyś na hali zielonej rzucił raz bacę podle watry, przy owiec kierdelku, żeby wraz ze skrzypkami przystać na wieczne czasy do rozgłośnej na pograniczu, strasznej a nieustraszonej, lubo nie licznej, gromadki przemysłowców...

Oni to właśnie byli — serdeczni Dźwigały towarzysze, co z nim teraz przyszli do Szmula, który snąć się ich spodziewał, chociaż myślał, że dopiero później zjawią się do niego; teraz zaś wielce był kontent, iż przyszli już po odejściu gromady; ze starego Sagana bowiem, robił sobie żyd tyle chyba, co z Justychy, mimo że Marek nie należał do jego zaufanych, jak wysługująca mu się dziadówka.

Teraz uśmiechał się karczmarz z zadowoleniem, witając pożądaných gości:

— Nu, cóż tak wesoło?

A na to mu z miejsca wypalił najpoważniej w bandzie wyglądający — lubo nie herszt ich nieobecny — Jędrak Galas, chłop ogromny i w barach potężny.

— A czyśmy to zje kogo pochowali, żeby się dziś smucić?